



MACIEJ JASTRZĘBSKI

Krym

MIŁOŚĆ I NIENAWIŚĆ

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Opieka redakcyjna: Ewelina Burska

Projekt okładki: ULABUKA

Projekt składu: Michał Maciąg

Korekta językowa: M.T. Media

Redakcja: M.T. Media

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock.

Fotografie wewnątrz książki pochodzą z archiwum autora i zostały wykorzystane za jego zgodą.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl>

ISBN: 978-83-283-0160-3

Copyright © Maciej Jastrzębski, Helion 2016

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

SPIS TREŚCI

Ostatni przystanek | 7

Część I

Duchy z parku Gorkiego | 20

Iskra nadziei | 37

Test lojalności | 53

Część II

Tatarski gniew | 66

Łzy na stepie | 75

Wyrok | 85

Krym nasz | 89

Część III

Gdzie te stepy, Adamie? | 96

Mamy już Rosję, a będzie ZSRR | 120

Prawo Zariny | 127

Ostatnia droga Tatara | 132

Część IV

Spalona ziemia | 136

To nigdy nie będzie wasz dom | 149

Wygnańcy | 155

Część V

Granica | 170

Pierwsza krew | 177

Nie jesteśmy niczymi wrogami | 187

Część VI

Strzały na moście | 198

Smak trawy | 206

Część VII

Przysługa | 218

Miasto rozbitych marzeń | 230

Wiadomość | 247

Serce za serce | 256

Tajemniczy gość z Moskwy | 262

Posterunek | 266

Zakończenie | 274

Bibliografia | 277

OSTATNI PRYZYSTANEK

Na przejściu granicznym w Doniecku pustki. O świcie nie ma chętnych do przekroczenia rosyjsko-ukraińskiej granicy. Obok strażnicy obłożonej workami z piaskiem zaparkował transporter opancerzony. Grupka żołnierzy opartych o wielkie koła kurzy papierosy. Nieopodal dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach i kuloodpornych kamizelkach siedzi na masce terenowej toyoty. Jeden z nich trzyma termos. Pewnie z kawą. Na drzwiach auta białe litery w niebieskim polu układają się w napis „OSCE”¹. To stała misja obserwacyjna Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dwudziestu ludzi dzień i noc zapisuje, kto przekroczył granicę, w co był ubrany, czym jechał i różne inne szczegóły, które mogą pomóc w ustaleniu, czy aby na pewno nikt nie dostarcza broni separatystom stacjonującym w Donbasie. Uśmiecham się sam do siebie, wiedząc, jaka bezsensowna jest ich misja, bo jak mówił mi niedawno szef tej grupy Amerykanin Paul Picard, ten posterunek obejmuje zaledwie kilkadziesiąt metrów z ponad czterystu kilometrów rosyjsko-ukraińskiej granicy kontrolowanej przez oddziały samozwańczych republik Donieckiej i Ługańskiej. Co się dzieje na innych odcinkach, tego już obserwatorzy nie są w stanie zobaczyć. Jednak dobrze, że tu są. Zawsze mogą wypatrzeć coś niepokojącego i poinformować o tym opinię publiczną. Na razie ich raporty każdy wykorzystuje jak mu wygodnie.

Pamiętam, jak jesienią 2014 roku wybuchł skandal: Ukraińcy oskarżyli Rosjan o przerzucenie przez granicę dużej ilości sprzętu wojskowego. Byłem wtedy chyba jedynym dziennikarzem, który akurat pracował w tym rejonie. Spotkaliśmy się z Paulem Picardem

¹ Ang. *Organization for Security and Co-operation in Europe*.

w Kamieńsku Szachtyńskim, gdzie zlokalizowany jest sztab misji OBWE. „Na granicy nie zauważyliśmy żadnych rosyjskich czołgów wjeżdżających na Ukrainę, ale widzieliśmy sporą grupę ludzi w odzieży wojskowej” — usłyszałem od niego. Następnego dnia niemal wszystkie rosyjskie agencje, powołując się na Polskie Radio, podały, że obserwatorzy OBWE nie widzieli czołgów. Drugą część zdania już zignorowały. Natomiast ukraińskie media pominęły tę część informacji o czołgach, koncentrując się na tym, że przez granicę przechodzą ludzie w mundurach. Cóż, każdy dostrzega tylko to, co chce dostrzec.

Tym razem nie interesował mnie ruch na granicy. Chciałem zobaczyć, jak żyją mieszkańcy zbuntowanych obwodów Ukrainy trzy miesiące po podpisaniu mińskich porozumień pokojowych. Jak zwykle zatrzymałem się w Rostowie nad Donem. Tam wynająłem taksówkę. Zawsze lepiej jechać ze sprawdzonym przewodnikiem niż samemu autem na polskich numerach rejestracyjnych włączyć się po terenach objętych walkami.

Na przejście w Doniecku dotarliśmy tuż po wschodzie słońca. Rosjanie skrupulatnie sprawdzili nasze dokumenty, zajrzeli w każdy zakamarek auta i życzyli bezpiecznej drogi. Nie zdziwiło ich, że Polak wjeżdża do Donbasu. Z wizy białej w paszport jasno wynikało, że jestem zagranicznym korespondentem.

— Normalka, codziennie jeżdżą tędy jacyś dziennikarze, częściej rosyjscy, ale obcokrajowców też nie brakuje — rzucił na do widzenia jeden z pograniczników.

Po stronie kontrolowanej przez separatystów, w punkcie granicznym Izwarino też poszło nam gładko. Może pora była akurat taka, że strażnikom po nieprzespanej nocy nie chciało się o nic pytać?

Jechaliśmy pustą szosą. Nawet psa z kulawą nogą. Tylko od czasu do czasu widzieliśmy na polach zniszczone działa, spalone czołgi i wozy bojowe. To pozostałość toczących się przed rokiem zaciętych walk ukraińskiej armii z separatystycznymi oddziałami samozwańczej Ługańskiej Republiki Ludowej (ŁRL).

— Niewiele już tego zostało — tłumaczył mój kierowca. Kilka miesięcy wcześniej, gdy woził przez granicę Ukraińców, podobno wraki wały się wszędzie. — Jak się trochę uspokoiło, tak jakoś jesienią, to ludziska jechali do swoich domów, żeby zobaczyć, co z nich zostało — opowiadał. — Niektórzy zabierali ciepłą odzież i wracali do Rosji. Woleli przezimować u nas, bo bezpiecznie. Znaleźli pracę, wynajęli mieszkania albo dostali od naszego gubernatora pokoje w sanatoriach, więc po co mieli siedzieć w zrujnowanych chałupach, drżąc każdego dnia o życie — wyjaśnił. — Wiesz, coś ich tam jednak ciągnie. Może dlatego, że się urodzili i wychowali w tych wioskach, a może dlatego, że chcieli zobaczyć bliskich, którzy nie uciekli? Nie mam pojęcia, ale brali taksówkę i jechali choćby na kilka godzin. Początkowo jeździliśmy tylko do granicy. Dalej się baliśmy, bo wciąż było słyhać strzały. A oni, wyobraź sobie, szli pieszo. W deszcz i ziąb, tyle kilometrów szli. Przed zmrokiem wracali, ale jacyś tacy odmienieni. Ponurzy — stwierdził i zamilkł.

Gdy się ponownie odezwał, wyjaśnił, że od kilku tygodni po ukraińskiej stronie granicy panuje względny spokój. W ciągu dnia można bezpiecznie przejechać, ale nocą nie radził, bo licho wie, kogo się spotka na drodze.

Dotarliśmy do Krasnodonu. Dochodziła jedenasta trzydzieści. Przed niewielkim sklepem tłoczyło się kilka osób, przeważnie starsze kobiety. Podobno wczoraj sprzedawczyni wróciła z Rosji i przywiozła świeżą kiełbasę. Widać było, że kilka miesięcy temu w mieście toczyły się walki. Zniszczone kamienice, dziury w jezdni, zerwane chodniki. Ślady wojny próbowała usunąć sama przyroda. Gdzieniedzie zieleniła się trawa, a połamane drzewa wypuściły liście.

— Nie będzie nas, będzie las — zauważył filozoficznie kierowca. Spojrzałem na niego zaskoczony.

— No, miałem na myśli, że jak się ludzie przez swoją głupotę wymordują, to tylko rośliny tu zostaną — dodał.

Kobiety stojące przed sklepem początkowo niezbyt chętnie odpowiadały na moje pytania. Nasłuchałem się, jacy to dziennikarze z Zachodu są nieuczciwi, że kłamią i podobne stwierdzenia, których nie chce mi się powtarzać. Za to pod adresem rosyjskich żurnalistów posypały się same pochwały. Moi moskiewscy koledzy pękliby z dumy, słysząc, że są uczciwi, dociekliwi i odważni. Nic nie mówiłem, bo niby co miałem rzec. Uśmiechałem się tylko głupio.

— Synoczek, tebe dobrze z oczu patrzy, ti dobri chłopiec jesteś — odezwała się łamaną polszczyzną, zaciągając z ukraińska, jedna z kobiet. Popchnęła mnie w kierunku ławeczki stojącej obok sklepu i kazała włączyć magnetofon. Miałem słuchać, nagrywać i nic nie zełgać. Siedziałem więc i słuchałem, nie odzywając się ani słowem. Kobiety opowiedziały mi o tym, jak na ich miasto spadały pociski. Jak chowały się w piwnicach, płacząc ze strachu. Jak ich mężowie poszli walczyć, a synowie i córki pojechali do Rosji.

— Żeby chociaż oni przeżyli, bo my już same na sobie krzyżyk postawiłyśmy — gadały jedna przez drugą.

Dowiedziałem się, że wszystkiemu są winni Amerykanie, którzy pozazdrościli Donbasowi złóż gazu łupkowego, a Barack Obama to najgorszy faszysta na świecie, gorszy nawet od tych „banderowców” z Kijowa. Usłyszałem o śmierci dzieci bawiących się na podwórku, które zginęły trafione odłamkami. O ludziach, którym pociski urwały ręce albo nogi, i o żołnierzach ukraińskich, którzy rzekomo strzelali do niewinnych ludzi. W tych opowieściach nie było ani jednego złego słowa o separatystach. Rozumiałem to, bo przecież nie mówi się źle o krewnych. A kto walczył po stronie prorosyjskich buntowników, jeśli nie rodziny tych kobiet?

— O swoje walczą — klarowała mi jedna z siedzących pod sklepem. — Gdyby nie walczyli, toby nas tu wszystkich ten diabeł Porosenko wymordował — wykrzyczała.

— Teraz się choć trochę uspokoilo? — zapytałem.

— Uspokoilo, uspokoilo. Tylko czasem bomba jakaś spadnie albo terkot karabinów slychać, ale żyć już się jakoś da. Nie trzeba w piwnicy siedzieć i już nas dzieci zaczęły odwiedzać — wyjaśniła ta, która odrobinę znała polski.

— A wy, skąd mój język znacie? — dopytywałem.

— Ja spod Lwowa jestem, tylko zaraz po wojnie ojciec pracę dostał w kopalni i nas tu przywieźli — tłumaczyła. — Babula moja Polką była, ale ja to radziecka jestem, taka trochę Rosjanka, trochę Ukrainka — wyjaśniła.

Pożegnałem się z kobietami, obiecałem opowiedzieć słuchaczom w Polsce wszystko, co od nich usłyszałem, i wróciłem do samochodu. Pomny ostrzeżeń mojego kierowcy nie nalegałem na jazdę po mieście. Tym bardziej że radzono nam wrócić do Rosji przed zmerchem. Ruszyliśmy więc w powrotną drogę. Przejeżdżaliśmy obok tych samych spalonych chałup, zniszczonych czołgów i rozbitych dział. Na drodze nie było już tak pusto jak o poranku. Najczęściej mijały nas zdezelowane samochody z ukraińskimi rejestracjami, ale zauważyłem też kilka z nowymi tablicami samozwańczej ŁRL.

W tym miejscu droga nie jest najlepsza. Podskakując na wybojach i omijając dziury, nie od razu zauważyliśmy, że naszym autem dziwnie zarzuca.

— Chyba mamy flaka — stwierdził ze złością kierowca. — Nie dojedziemy do granicy, bo zniszczę felgę — dodał, przeklinając soczyście.

Zdjął nogę z gazu, włączył światła awaryjne i zatrzymał samochód obok wiaty przystanku autobusowego.

— Jak mi pomożesz, to uwiniemy się raz-dwa — rzucił.

Zdążyliśmy wyjąć z bagażnika zapasowe koło, a tu jak nie lunie. Strugi deszczu takie, jakby się chmura urwała. Wskoczyliśmy obaj pod daszek, bo auto stało już na lewarku. Stoimy, palimy papierosy, przestępujemy z nogi na nogę, licząc, że zaraz przestanie padać. Żaden z nas się nie odzywa, bo po co strzepić język, skoro i tak wszystko wiadomo.

„Postoimy tak jeszcze trochę i lichy wie kto się może przyplątać” — martwiłem się w duchu. No i wykrakałem. Od strony Krasnodonu nadjechała czerwona łada. Wysiadło z niej dwoje pasażerów: kobieta i mężczyzna. Kierowca nawet nie zapytał nas, czy potrzebujemy pomocy, ostro zawrócił i pognał z powrotem. Nieznajomi, chroniąc się przed ulewą, poszli w nasze ślady, więc pod daszkiem wiaty było nas już czworo.

Ona wyglądała na jakieś trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Długie czarne włosy, smągła twarz i wielkie niebieskie oczy. „Ładna kobieta” — przemknęło mi przez myśl. On tak około czterdziestki, włosy ciemne, przyprószone siwizną, dość wysoki. Sprawiali wrażenie przestraszonych.

— Dzień dobry — rzucili cicho i stanęli w kącie, nic więcej nie mówiąc.

Deszcz zaczął coraz mocniej. Zerwał się wiatr, a granatowe niebo przeciął zygzak błyskawicy. Pierwszy odezwał się mój kierowca.

— Mieszkacie w pobliżu? — zapytał.

Mężczyzna drgnął zaskoczony. Przez chwilę taksował nas podejrzliwym wzrokiem, wreszcie odburknął, że jadą do Rosji.

— To szkoda, że w taką ulewę nie dowieźli was do granicy — wtrąciłem się.

Oboje, słysząc mój zagraniczny akcent, wymienili spojrzenia.

— Nasz szofer nie chciał — odparł już nieco odważniej mężczyzna. — Wy też do Rosji?

— Tak, tylko mieliśmy pecha, guma nam strzeliła na tych dziurach — wskazałem głową wiszące na lewarku auto.

— Zabierzcie nas, pomożemy przy zmianie koła — poprosił nieśmiało.

— Nie ma sprawy. Skoro Bóg nas tu zebrał pod tą wiatą, to widocznie tak miało być. Nie można przeciwstawiać się Jego wyrokom — zauważył mój kierowca. — Gdy tylko przestanie padać, weźmiemy się do roboty. Teraz szkoda moczyć koszule — dodał.

— Podobno jeżdżą tędy do Rosji marszrutki — pierwszy raz odezwała się kobieta. — Ten, który nas przywiózł, powiedział, że

to ostatni przystanek przed granicą, więc na pewno ktoś nas zabierze — uśmiechnęła się.

Wyglądała na zmęczoną. Podpuchnięte oczy. Bez makijażu. Włosy dawno nieczesane. Nie odważyłbym się jednak stwierdzić, że była zaniedbana. Raczej warunki, w jakich podróżowała, nie pozwalały jej usiąść przed lustrem.

— Jura jestem — mój kierowca starał się przełamać lody.

— Fiodor — mężczyzna podał nam rękę.

Przez chwilę nie wiedziałem, jak się mam przedstawić: czy z rosyjska Matwiej, czy może po polsku Maciej. Wybrałem ten drugi wariant, dodając w przypływie szczerości, że jestem dziennikarzem z Warszawy. Nieznajomi odetchnęli z ulgą. Widocznie moja profesja sprawiła, że nabrali do nas zaufania.

— Marianna — szepnęła kobieta, wyciągając drobną dłoń.

Deszcz bębnił o dach przystanku autobusowego. Woda wypełniała dziury w jezdni, a poboczem płynęły wartkie strumyki. Co prawda na horyzoncie widać było błękitne niebo, ale nad nami wciąż wisiały ciemne chmury. Zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby zmoknąć, naprawić samochód i wreszcie przekroczyć granicę. Rzuciłem nawet taką propozycję. Jednak kierowca radził poczekać. Gdzieś z daleka doleciał pomruk burzy. Chwilę później znowu zagrzmiało. „To nie burza” — zdążyłem pomyśleć, a Jura już ciągnął mnie za rękaw w stronę samochodu. Idąc za nim, zastanawiałem się, czy nagle zmienił zdanie.

— Strzelają. Lepiej rzeczywiście stąd spadajmy — krzyknął kierowca.

Uwijaliśmy się, nie zważając na strugi deszczu. Pięć minut i było po wszystkim. Przemokliśmy do suchej nitki. Niestety, nikt z nas nie miał ręcznika, więc pozostały nam chusteczki higieniczne, które wyciągnęła z plecaka Marianna. Ruszaliśmy już, gdy pierwszy pocisk uderzył w pole. Wyraźnie widziałem unoszące się w powietrzu grudki mokrej ziemi. Nim opadły, nastąpiła kolejna eksplozja i jeszcze jedna.

— Z gradów wałą — warknął kierowca, dociskając gaz.

Wyrzutnie tego typu mogą strzelać pociskami nawet na odległość dwudziestu kilometrów, więc trudno byłoby tak na gorąco ustalić, kto strzelał. Zresztą jakie to w tej chwili miało znaczenie? Według ekspertów takimi wyrzutniami dysponowała zarówno armia ukraińska, jak i separatyści.

Właśnie tak wyglądało zawieszenie broni w Donbasie. Na papierze skonfliktowane strony zobowiązały się nie używać artylerii, ba, w ogóle nie strzelać do siebie. Tymczasem rzeczywistość skrzeczała, a właściwie grzmiała armatnimi salwami.

— Teraz to się rzadko zdarza — wyjaśniła Marianna. — Strzelili raz, poleciało kilka pocisków i na tym koniec. Dobrze, że na pole spadły, a nie na jakąś wieś — dodała.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na kobietę. W jej oczach nie dostrzegłem strachu.

— Znasz się na tym? — zapytałem.

— Nie, ale sporo ostatnio widziałam — odparła.

Dojechaliśmy do granicy. Tym razem nie było już tak łatwo jak o poranku. Przed posterunkiem stało kilkanaście aut. Przeklinałem w duchu, zdając sobie sprawę, że w najlepszym razie przejazd na drugą stronę zajmie nam co najmniej trzy godziny.

Siedzieliśmy w samochodzie. Deszcz bębnił o dach, a potoki wody spływały po szybach. Jura włączył ogrzewanie.

— Ciuchy nam szybciej wyschną — wyjaśnił.

— Skąd jesteście? — zapytałem naszych pasażerów.

— Ja z Moskwy — odpowiedział Fiodor.

Dziewczyna chwilę się wahała.

— A ja z Symferopola — wypaliła wreszcie.

— O, Krym — ożywił się mój kierowca. — To teraz już Rosja — dodał, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Jestem Ukrainką — odparowała z marsową miną Marianna.

— Nie ma znaczenia: Rosjanin czy Ukrainiec. Wszyscy jesteśmy braćmi — ciągnął niezrażony jej twardą odpowiedzią szofer.

— Chyba jak Kain z Ablem — odcięła mu się kobieta.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Deszcz przestał padać. Mogliśmy wreszcie wyjść z auta. Jura wyłączył silnik.

— Może się napijecie? — zaproponował i nie czekając na odpowiedź, wy dostał z bagażnika reklamówkę. — Żona zawsze tak mnie zaopatruje na drogę — wyjaśnił, wyjmując z siatki butelkę wody i termos z kawą. — Niestety, mam tylko dwa kubeczki.

— My też coś dołożymy do wspólnego stołu — Fiodor wy dobył z plecaka jakiś przedmiot owinięty w starą gazetę. Położył zawiniątko na masce samochodu i rozwinął. — Świeże placki kukurydziane, proszę, częstujcie się. Kupiliśmy przed kilkoma godzinami. Były jeszcze ciepłe — zachęcał.

Sięgnąłem po jeden. Rozpływał się w ustach. „Do tego sos z czerwonej fasoli i poczułbym się jak w Gruzji” — pomyślałem, wspominając potrawę, którą kiedyś upichcili moi gruzińscy przyjaciele. Rozgotowana na papkę czerwona fasola, doskonale przyprawiona, z odrobiną tłustego mięsa i do tego kukurydziane ciasto. Palce lizać. Sięgając po kolejny placek, zatrzymałem wzrok na gazecie, w którą był zawinięty. *Tatar ofiarą rosyjskiej aneksji* — krzyczały czarne litery. Pod tytułem drobniejszą czcionką wydrukowano zdanie: *38-letniego mężczyznę znaleziono z nożem wbitym w oko.*

— Znam tę historię — wskazałem palcem na gazetę i spojrzałem na Fiodora i Mariannę.

— Tak, to bardzo tajemnicza śmierć — odezwała się kobieta. — Cały Symferopol o niej mówił.

— Byłaś wtedy na Krymie? — zainteresowałem się.

— Tak, byłem — odpowiedziała niemal szeptem. — To historia o miłości i nienawiści — dodała ze smutkiem w głosie. — Z Krymem wiąże się wiele takich wydarzeń, w których miłość i nienawiść splatają się jak dwa węże w śmiertelnym uścisku. — Spojrzała na Fiodora i uśmiechnęła się. — Widzicie, my też mamy równie dużo powodów, żeby się nienawidzić i żeby się kochać — ciągnęła. — Może gdybyśmy się spotkali w innych czasach? Gdyby Rosja nie napadła na moją ojczyznę, może byłoby nam łatwiej? A tak, cóż, każdego dnia musimy się zmagać z tym, co dał nam los — raz jeszcze spojrzała na Fiodora.

Mężczyzna zbliżył się do niej, objął ją ramieniem i przytulił. Stałiśmy w kolejce aut, czekając na przekroczenie ukraińsko-rosyjskiej granicy, a oni opowiadali nam swoją historię. Mijały godziny. Zapadał zmierzch, a im wciąż nie zamykały się usta.

Marianna miała rację. Jasne i ciemne strony ludzkich namiętności splatały się w ich opowieści jak dwa węże walczące na śmierć i życie. A polem bitwy był Krym. Czyż nie tak od wieków opisywali półwysep poeci? Jako miejsce, gdzie miłość spotyka się z nienawiścią, a wielkim czynom towarzyszą podłe intrygi? Miejsce, z którego chce się uciec, by nazajutrz tęsknić za nim bez opamiętania? Przypomniałem sobie wtedy ostatnie strofy poematu Aleksandra Puszkina *Fontanna Bakczysaraju*²:

(...) *Radością poi się wędrowiec,
Gdy rankiem cichym i pogodnym
Nawykły niesie go wierzchowiec
Między nadmorskich gór urwiska,
A zielonawy żywioł wodny
O Ajudahu skały pryska
I szumnie pieni się, i błyska...*

² Wszystkie cytaty z tego utworu zamieszczone w książce pochodzą z wydania A. Puszkina, *Dzieła wybrane*, t. 2: *Poematy i baśnie*, PIW, Warszawa 1956. Utwór *Fontanna Bakczysaraju* przełożył Stanisław Strumph-Wojtkiewicz.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

CZY W MORZU NIENAWIŚCI MOŻNA ODNALEŹĆ UKRAIŃSKO-ROSYJSKĄ MIŁOŚĆ?

MACIEJ JASTRZĘBSKI, dziennikarz Polskiego Radia i niestrudzony badacz krain położonych na wschód od nas — autor książek *Matrioszka Rosja i Jastrząb* oraz *Kłątwa gruzińskiego tortu* — tym razem wybrał się na Krym. Jednak nie na ten bajkowy, opiewany w powieściach, wierszach, filmach i pieśniach miłych duszy każdego Słowiani-
na, tylko na ten prawdziwy. Z krwi i kości. Krym Anno Domini 2015. Krym, który padł ofiarą aneksji. Zamieszkały przez skłóconych ze sobą Ukraińców, Tatarów i Rosjan. Dokąd powiedzie te narody najnowsza historia? Co się stanie z pięknym półwyspem, dawną perłą tatarskiego chanatu i rosyjskiego cesarstwa? I czy możliwa jest jeszcze miłość na Krymie, skoro tyle tu nienawiści?

— Skąd jesteście? — zapytałem naszych pasażerów.

— Ja z Moskwy — odpowiedział Fiodor.

Dziewczyna chwilę się wahała.

— A ja z Symferopola — wypaliła wreszcie.

— O, Krym — ożywił się mój kierowca. — To teraz już Rosja — dodał, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Jestem Ukrainką — odparowała z marsową miną Marianna.

— Nie ma znaczenia: Rosjanin czy Ukrainiec. Wszyscy jesteśmy braćmi — ciągnął niezrażony jej twardą odpowiedzią szofer.

— Chyba jak Kain z Ablem — odcięła mu się kobieta.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

(fragment książki)

Krym: miłość i nienawiść to kolejny dowód na to, że Maciek Jastrzębski jest nie tylko świetnym dziennikarzem radiowym, ale również znakomitym pisarzem. W interesujący sposób udało mu się połączyć literaturę faktu z romansiem, dramatem i dreszczowcem. Książka zawiera nie tylko opis wydarzeń związanych z aneksją Krymu, ale także towarzyszące im emocje. Napisana świetnym językiem, z pasją. Gorąco polecam.

Marek Wałkuski

(korespondent Polskiego Radia w Waszyngtonie)

Patroni medialni:



Nr katalogowy: 36339

Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900



Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://editio.pl/promocje>
Książki najczęściej czytane:
● <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
● <http://editio.pl/news>

Helion SA
ul. Kociańska 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}

ISBN 978-83-283-0160-3



cena 39,00 zł

9 788328 301603